

Cud 1989 roku w perspektywie socjologicznej

W 1989 roku zdarzył się w Polsce cud. Ale kiedy o cudzie ma mówić socjolog, to musi porzucić wyjaśnienia metafizyczne i poszukać realistycznych. Dla socjologa cuda historyczne są dziełem ludzkim, efektem działań wybitnych jednostek, mas społecznych, zorganizowanych ruchów społecznych. W języku socjologii nasz cud nosi nazwę „Rewolucja 1989 roku”, w takim sensie, w którym rewolucja nie musi oznaczać barykad, burzenia Bastylli, terroru i gilotyn – ale fundamentalny i radykalny przełom ustrojowy, także zdobyty pokojowo.



Piotr Sztompka

Jak to się stało, że nasza rewolucja była możliwa? Ktoś, kto wymyślił hasło „Solidarność” miał wspaniałą intuicję socjologiczną. Bowiem tajemnica polskiego cudu to połączenie pod hasłem „Solidarność” trzech sił naszego narodu, które we wcześniejszej naszej historii często były rozdzielone.

Pierwsza, to siła ludu, ramię rewolucji, bez którego przełom nie miałby szans. „We the people” – jak zaczął swoje słynne przemówienie w Senacie Stanów Zjednoczonych symbol siły ludu, charyzmatyczny trybun ludowy tamtych dni, nasz dzisiejszy gość – Lech Wałęsa.

Druga, to siła rozumu i spokoju, pozwalającego artykułować masowe nastroje, postulaty i żądania, okiełznać i ukierunkować rewolucyjny żywioł. Jej symbolem stał się pierwszy charyzmatyczny premier III Rzeczypospolitej, nasz drugi dzisiejszy gość – Tadeusz Mazowiecki.

Trzecia to siła ducha, nadającego impuls emocjonalny i moralny rewolucyjnym działaniom, którą uosabiał też z pewnością obecny dzisiaj wśród nas, choć inaczej – bo w naszej wdzięcznej pamięci i naszych gorących uczuciach – charyzmatyczny polski papież, Ojciec Święty Jan Paweł II.

To on pierwszy potrafił obudzić z letargu i zjednoczyć te trzy siły podczas swojej pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, jeszcze w roku 1979, kiedy staliśmy nagle razem w uniesieniu i nadziei, w poczuciu odzyskanej godności i jedności, podczas papieskich mszy, a dziesięć lat później zasiadaliśmy razem do Okrągłego Stołu – tego najwspanialszego mebla w naszej historii, aby – jak wołał Papież – „zmienić oblicze ziemi, tej ziemi”. Byłem na takiej papieskiej mszy na krakowskich Błoniach. I to było nie tylko przeżycie religijne, patriotyczne, ale także jedno

z moich najważniejszych doświadczeń profesjonalnych. Bo nagle wśród tych dwóch milionów ludzi, którzy przyszli jeszcze osobno, każdy skądinąd, przygięci do ziemi pod ciężarem trosk i codziennych kłopotów, nagle powstała wspólnota – *communitas*. Wychodziliśmy już razem z wysoko podniesionymi głowami...

Wiemy jak kończyły się nasze narodowe zrywy, czy to w XIX-wiecznych powstaniach, czy w walce o reformowanie realnego socjalizmu, kiedy każda z tych trzech sił działała osobno – lud sobie, elity intelektualne sobie, Kościół katolicki sobie. Pamiętamy na przykład rok 1968, zryw elit intelektualnych, kiedy robotnicy krzyczyli „pisarze do pióra”. Pamiętamy rok 1970, kiedy władza tłumiła krwawo robotniczy zryw na Wybrzeżu, a intelektualni stali jakby z boku, dopiero później, *ex post*, budując heroiczną narrację o „człowieku z marmuru”. Nasz kalendarz narodowych klęsk jest znaczonej jest właśnie brakiem jedności.

Kiedy taka jedność w latach osiemdziesiątych się zdarzyła, kiedy spotkali się: przywódca czynu, przywódca myśli i przywódca ducha, a pod ich egidą cały prawie naród spożył więzi moralne – zaufania, lojalności, wzajemności i solidarności właśnie – dokonał się nasz cud, dokonaliśmy rewolucji.

I wyglądało na to, że wygraliśmy już naszą demokratyczną, zasobną i wolną przyszłość. A tymczasem wygraliśmy tylko bitwę, ale jeszcze nie wojnę. Bo dzisiaj nostalgicznie wspominając piękny czas jedności sprzed dwudziestu lat, popatrzmy uważnie wokół. Społeczeństwo pęknięte na beneficjentów i przegranych transformacji. Państwo areną nieustannych sporów, kłótni i walk prowadzonych na trafnie tak nazywanej „scenie politycznej”, do tego przez dość kiepskich aktorów – tak jakby demokracja, to miałyby być pole bitwy o egoistyczne, partyjne, czy frakcyjne interesy, a nie sposób na osiągnięcie społecznego *consensusu* i kultywowanie dobra wspólnego. Nawet Kościół podzielony: „łagiewnicki” i „toruński”. I już kilka wolnych i niezależnych związków zawodowych i już nawet kilka „Solidarność” zawłaszczających ten wielki symbol jedności sprzed lat w imię wyniszczającej konkurencji i bratobójczej walki. „Wojny na górze” i „wojny na dole” – i coraz bardziej tym zde gustowane, coraz bardziej znowu uciekające w życie prywatne społeczeństwo obywatelskie. I tylko to wspomnienie utraconej wspólnoty.

I dlatego rewolucja 1989 roku jest ciągle niedokończona, a prawdziwa, pełna demokracja, pokój społeczny i dobrobyt powszechny są ciągle nie do końca spełnionymi marzeniami. I pozostaną marzeniami, jeżeli nie potrafimy znów być razem: rozmawiać, a nie kłócić się; współpracować, a nie wzajemnie niszczyć; myśleć o dobru wspólnym, a nie o partykularnych zyskach; dbać o sprawy publiczne, a nie tylko o własne podwórko; działać w imię wielkich wartości i ideałów, a nie małych interesów i interesików. Musimy próbować odbudować tę wspaniałą tradycję wspólnego działania, wspólnej radości i wspólnej nadziei, którą symbolizuje data 4 czerwca roku 1989. To najważniejsze przesłanie na dzisiaj, jakie płynie z tamtych pięknych dni.